



Stefan Żeromski - Ludzi bezdomni, część 2.

Judym wraca do Warszawy. Chce odwiedzić brata Wiktora, ale nie zastaje go. Ciotka Pelagia informuje, że jest w pracy, w fabryce cygar. Tam spotyka żonę brata, Teosię. Następnego dnia odprowadza brata do pracy. Z niechęcią wspomina dzieciństwo.

Gdy się znaleźli w ulicy, szli przez czas pewien obok siebie w milczeniu, po prostu nie wiedząc od czego zacząć. Wreszcie Wiktor rzekł:

- W Paryżuś był?

- Byłem.

- Teraz tu zostaniesz?

- Pewno. Trzeba będzie tu osiąść. Zobaczę, jeszcze nic nie wiem. Chciałbym tu być, ale czy wyżyję...

- No, i po tylu latach nauki jeszcze byś nie wyżył! - uśmiechnął się z niedowierzaniem i odrobiną ironii.

- Tak ci się to zdaje.

- Pewnie, że mi się zdaje. Co ja m o g i ę wiedzieć?

Judym zauważył to „mogie” i wnet go poczęło drażnić. Znowu szli milcząc. Ulice były prawie puste. Kiedy niekiedy jechał wóz z jarzynami albo pieczywem. Nadzwyczajnie hałasując przemknęła się dorożka wioząca niewyspaną osobę z jakiegoś wczesnego pociągu. O ściany kamienic rozbijał się łoskot kroków ludzi idących do pracy z blaszankami w ręku.

W pewnej chwili wyminął braci stary Żyd dźwigający na plecach w ogromnym koszu dwa wielkie półcie mięsa. Stróże na całej długości ulic rozbijali miotłami suchy kurz i brud wczorajszy.

- Mówiła mi ciotka, że przeczuciłeś się znowu... - zaczął doktor.

- A tak. Pożarłem się z Raczkim, tam z jednym majstrem Niech go tam zresztą jasności!...

- O co?

Miejsce na Twoją reklamę
info: reklama@lykwiedzy.pl

- A o co? Ścierpieć my się nie mogli i dość. Mówi, że ja nie na robociarza, że w kamaszkach, w żakiecie chodzę, w krawacie... To, mówi, nie tego... A jemu psia krwi co do moich kamaszków! Idę do roboty jak każdy inny f a c e t, w takiej, o, koszuli i w takich portkach...

- Pewnie, ale po co się drzeć o byle co?

- E, o byle co! My ta wiedzieli, o co się drzemy... - rzekł Wiktor spluwając. - On mi się tylko czepiał, d r a ń, ja wiem. Ho co mu do mnie M o g i ę na mieście w święto papierowy kołpak włożyć na łeb i chodzić w tym po alejach, to i tak mu nic do tego, chałujowi. Wzienem, zrugałem raz i drugi - no i trza się było wylać z tamtej budy:

- Jakże ci teraz?

- Z początku była b r y n d z a, ale jak raz zaprowadzili tę gruszkę Bessemera czy ta jakiego, i nadałem się. Robota jest ciężka, oczy żre, ale tu wolę.

- Widzisz, to ci chcę powiedzieć, że ty może wolisz, ale Teosia musiała stanąć do roboty. Ja wczoraj byłem w tej jamie, gdzie ona chodzi.

- Ja jej nie zmuszał.

- Tyś jej nie zmuszał, ale brak zmuszał. Powiem ci, że ona w tym tytoniu długo robić nie powinna. To jest za ciężka praca.

- Teraz l e t k i e j pracy mało na świecie - rzekł Wiktor obojętnie. - Cóż ja miałem robić? Przecie nie próżnuję.

- Ja też ci nie robię wyrzutów, tylko mi żal twojej kobiety.

- I mnie jej żal, ale cóż na to poradzić... - rzekł Wiktor w tonie ironicznym, z boku rzucając okiem na brata. - Tyś wyszedł na ludzi, a my zostali w swoim stanie. Żałujesz... „mojej kobiety...” Ja to samo... Ale choćbyś żałował i przeżałował, to się psu na budę nie zda. Już nie trzeba, jak ja się staram, żeby się, wybić na ludzi...

- Myślisz, że ci ubliża to, co mówi taki Raczek!

- Nie ubliża mi! Kazałbym ja ci chodzić w grubych buciorach, w zgrzebnych gałganach, w drelichu, jak bele chłopu od kanalizacji; co ze wsi przylazł... To byśmy zobaczyli...

- Ubranie o wartości człowieka nie stanowi... - rzekł doktor, myśląc jednocześnie, że ta maksyma stanowi wyświechtane słowo, pasujące do treści skarg Wiktora jak kwiatek do kożucha.

Tamten szedł kilkanaście kroków nic nie mówiąc Raptem zwrócił się do Tomasza i rzekł szorstko:

- Widzisz, tak: tyś tera pan, a ja taki se człowiek, mało co lepiej ubrany od naszego nieboszczyka ojca. Wzięła cię ciotka z domu, wychowała, dała cię do szkół - no i dobrze, bardzo dobrze. To mię, sumiennie ci mówię, szczerze

Miejsce na Twoją reklamę
info: reklama@lykwiedzy.pl

cieszysz. Twoje życie było jak różyczka w ogrodzie, a moje, uważasz... Jak się ty będziesz ubierał, mnie to nic a nic nie obchodzi, chociaż to ubranie, twoje, nosisz z tej racji, że cię, widzisz, ciotka wzięła. Bez tego to cóż byś ty był? A jak sobie ja kupię żakiet, to do tego żakietu doszedł własnymi pazurami, jakbym go z muru wygrzebał. Uważasz mię?

Doktora zakłuły te słowa.

- Zdaje ci się - rzekł - że moje życie było jak różyczka w ogrodzie. Żebyś ty wiedział...

- Skąd ja mam co wiedzieć! - krzyknął prawie Wiktor. - Byłeś to brat dla mnie! Pamiętam, że ciotka raz przyjechała dryndą, jak my oba na bosaka łachali po rynsztokach. Ciebie wzięła, boś był przystojniejszy - i koniec. Przychodziłeś do nas czasami na jakie godzinkie, aleś był wystrojony, potem w mundurze, i boczyłeś się na mnie, obdartusa z terminu.

- Co ty...

- No, no, ja t a na wiatr nie gadam! Dopiero jakeś poszedł do uniwersytetu, zetknęliśmy się, ale to co innego, i zresztą...

- Ciotce zawdzięczam wiele - mówił doktor patrząc w ziemię. - Gdyby nie ona, zostałbym był na naszym podwórzu. To prawda. Ona mię w świat wepchnęła, ale też com ja z jej powodu przeżył!

- Tyś przeżył?

- Wiesz przecie, kim była nasza ciotka.

- Przecie, że wiem.

- Była to podobno niegdyś cudna dziewczyna. Toteż prędko z sutereny ruszyła w świat...

- Cóż ty będziesz w e flanelę obwijał? „Ruszyła w świat” - tere fere... To była, podobno, najpierwsza g r a n d a w Warszawie! Jeden f a c e t, co mu ojciec nieboszczyk buty robił, rozповідаł staremu, że to, mówię ci, hrabiowie, nie hrabiowie...

- No dobrze, dobrze! - mruknął Tomasz z niecierpliwością.

- Gniewa cię to? - śmiał się tamten ordynarnie.

- Chcę ci powiedzieć, jak było, boś o tym zaczął, a nie wiesz: zebrała sobie kupę pieniędzy, mieszkanie najęła na drugim piętrze, cztery pokoje... miała śliczne meble. Czego tam nie było!

- Podobno szyk najpierwszy!

- Tak jeszcze stała, gdy mnie wzięła do siebie. Była już wtedy przekwitła, życia dawniejszego nie prowadziła, ale bywało u niej mnóstwo znajomych. Grało to w karty, piło. Przychodzili najrozmaitsi ludzie, młode i stare baby. Tam

Miejsce na Twoją reklamę
info: reklama@lykwiedzy.pl

ja to rosnę „jak różyczka w ogródku”... - mówił z bolesnym uśmiechem. - Pierwszych lat byłem na posyłkach, froterowałem, czyściłem posadzki, myłem w kuchni garnki, rondle, nastawiałem samowary i latałem, latałem bez końca za sprawunkami. Jeszcze dziś pamiętam ten dom, te schody kuchenne! Ile ja tam cierpień... Może we dwa lata wzięła ciotka i wynajęła pokój w korytarzu z osobnym wejściem jednemu studentowi. Płacił niedużo, ale za to miał obowiązek mnie uczyć i przygotowywać do gimnazjum. Ten f a c e t mię uczył sumiennie i przygotował Radek się nazywał... Poszedłem do s z t u b y. Ciotka płaciła wpis, nie mogę powiedzieć, ale też za to używała na mnie co się zmieści. Dowiedziałem się później, gdy byłem starszy, że dużo przegrała w karty. Wówczas nie rozumiałem wcale tego, co się tam działo. Doświadczałem tylko na sobie bez ustanku, że ciotka jest coraz bardziej skąpa i wściekła. Formalnie wściekła. Opanowywała ją czasami jakaś furia i gnała po pokojach, z jednego w drugi. Nie daj Boże wpaść jej wtedy w ręce! Sypiałem zawsze w przedpokoju, na sienniku, który wolno ani było przywlec z ciemnego pasażyka za pokojem ciotki wówczas dopiero, gdy się już wszyscy goście od niej wynieśli. Kładłem się spać późno w nocy, a wstawać musiałem najwcześniej ze wszystkich. Z czasem gości przychodziło coraz mniej, ale za to wynajęła trzy pokoje, do których wchodziło się ze wspólnego korytarza, sublokatorom. I wtedy nie wolno mi było kłaść się spać przed powrotem ostatniego z tych nędznych nocnych włóczykijów. Wstawać musiałem, gdy jeszcze wszyscy spali. Prał mię, kto chciał: ciotka, służąca, lokatorowie, nawet stróż w bramie wlepił mi, jeśli nie kułaka, w plecy, to przynajmniej słowo, często twardsze od pięści. I nie było apelacji. Moje lekcje, gdy Radek się wyprowadził po skończeniu b u d y, odrabiałem w kuchni, na stole zavalonym rondlami, wśród ziemniaków i masła. Ileż to razy ciotka mię wyganiała precz, za byle winę! Ile razy musiałem błagać na klęczkach, żeby mię znowu przyjęła do swego „domu”! Czasami w przystępie świetnego humoru dawała mi swoje rozklapane trzewiki, w których ku szczerzej radości całego gimnazjum chodzić musiałem. Trafiła się zima, kiedy sypało się w prunelowych pantoflach z wysokimi obcasami, albo inna, w której całym ciągu mogłeś być widzieć na śniegu ślad moich bosych nóg, choć niby to były okryte przyszwami. Jakem się tylko przywłókł do piątej klasy, bryknąłem stamtąd. Ale całe moje dzieciństwo, cała pierwsza młodość upłynęły w nieopisanym, wiecznym przestachu, w głuchej nędzy, którą teraz dopiero pojmuję. A zresztą, a zresztą... co to gadać...

- To ci ciocia dopiero... - śmiał się Wiktor. - Nieboszczyk ojciec nie lubił o niej gadać, o tej ciotce, a jak się tylko u r z n ą ł zdrowo, to zaraz na nią kłął co się zmieści.

Tomasz machnął ręką i szedł w milczeniu.

Miejsce na Twoją reklamę
info: reklama@lykwiedzy.pl